



Piotr Żółtowski

część I z II

Sygnatura notacji: N0280

Data urodzenia: 24.12.1931 r.

Data nagrania: 09.12.2009 r.

Miejsce nagrania: Centrala IPN, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Leszek Rysak

Czas nagrania: część I: 47 min, część II: 38 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Piotr Żółtowski: Piotr Żółtowski, syn Marcelego. Urodzony w 1931 roku. Matka Róża, mam dwie siostry. Rok starsza Maria Glińska i osiem lat młodsza Teresa Jakubowska. Starczy? Do wojny mieszkaliśmy na wsi w Wielkopolsce. Ojciec był właścicielem ziemskim. 8 grudnia 1939 roku zostaliśmy aresztowani i wywiezieni przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa. Po czterech dniach w obozie przejściowym w Racocie i oswobodzeni, przywrócono nam wolność, swobodę poruszania się w Kosowie Lackim. To jest chyba Małkinia, Siedlce. I róbcie, co chcecie. I stamtąd przyjechaliśmy do Warszawy, i do lata 1944 roku mieszkaliśmy w Warszawie. Na lato matka nas wywiozła do krewnych pod Kraków. Ona i ja mieliśmy wrócić na powstanie, ale choroba nagła i krótka to wykluczyła. I tam już zostaliśmy do Wielkanocy 1945 roku, kiedy wróciliśmy do Wielkopolski do naszego dawnego majątku, by po dwóch miesiącach zostać wyrzuconym poza powiat z zakazem przebywania czy wręcz pojawiania się na obszarze powiatu, gdzie był nasz majątek. I to jest okres wojny, i bezpośrednio po wojnie. Państwo przybyli do Warszawy [niezrozumiałe] Nie. Matka ulokowała się w Poznaniu. Dziadek tam miał hotel, który w 1945 roku wrócił chwilowo do rąk właścicieli i tam mieszkając, zdawaliśmy, ja i starsza siostra, maturę. I następnie ja wyjechałem do Gdańska, i potem już z nakazem pracy, po studiach wędrowałem po Polsce, a w końcu wylądowałem w Warszawie. A matka wyrzucona zresztą z mieszkania do hotelu robotniczego, w końcu dobiła się jakiegoś mieszkanca w Poznaniu i póki była fizycznie samodzielna, to tam mieszkała. A potem przywędrowała za młodszą siostrą też do Warszawy. Podczas gdy starsza po studiach wyjechała do Szczecina i tam mieszka do dziś. A ja po dłuższej wędrowce po Polsce, zawodowej, że tak powiem, wędrowce, też trafiłem do Warszawy i tu mieszkam od 1955 roku. Mój ojciec został zmobilizowany 14 sierpnia 1939 roku do swojego macierzystego pułku, 17. Pułku Ułanów w Lesznie i stamtąd został skierowany do ośrodka zapasowego tego pułku w Kraśniku Fabrycznym. A matka z dziećmi, z nami, uciekając przed perspektywą wojny,

wkroczenia Niemców, dojechaliśmy do krewnych naszych w Kocku, gdzie ojciec z Kraśnika miał niedaleko i nas tam odwiedził, i to był ostatni raz, kiedy ojca widzieliśmy. I ojciec z tego, co pamiętam, głównie ze wspomnień świeżo z tydzień temu zmarłego kuzyna Michała Żółtowskiego, który też tam był. Bez walki wędrowali i bez map na wschód po broń, aż w końcu zajęła Armia Czerwona. I to już oddzielna, że tak powiem historia. A my z Kocka wróciliśmy do Wielkopolski. Po drodze zmarła moja siostra, o której na początku nie wspominałem. W pociągu repatriacyjnym Radom-Wrocław, bo Warszawa się jeszcze broniła wtenczas. I wróciliśmy do naszego majątku w Głuchowie, gdzie mieszkaliśmy pod tak zwanym „trojhenderem”, zarządcą niemieckim, dwa miesiące, do momentu, kiedy nas aresztowano 8 grudnia, jak powiedziałem na samym początku, i wywieziono. Dzisiaj jest bardzo modny temat czystek etnicznych, a zupełnie się nie stykam w tej historii, o której czytamy stale w gazetach, to była czystka etniczna. Mianowicie Niemcy wtenczas aresztowali na prowincji wielkopolskiej wszystkich mężczyzn z inteligencji. Adwokatów, lekarzy, aptekarzy, ziemian i rozstrzeliwali na rynku w powiatowych miasteczkach. A ich rodziny plus maturzyści z rodzin rolniczych, chłopskich, którzy stanowili załóżek inteligencji w tamtych rodzinach, zostaliśmy wszyscy aresztowani i wywiezieni z terenów Wielkopolski. Wtenczas to się nazywało Warthegau, Kraj Warty, do Generalnej Guberni. I to zdecydowanie w moim pojęciu jako... mimo, że jestem nie prawnikiem ani nie historykiem, to była czystka etniczna. Po to, żeby ten teren oczyścić z elementu, który by utrudniał zrobienie z Polaków czegoś, co Niemcy, hitlerowcy nazywali sklavenvolk, czyli naród niewolników. I trzymając się tego tematu, w czasie wojny w Warszawie oczywiście chodziliśmy na tajne komplety nauczania, ale obowiązywał, obejmował nas również oficjalny obowiązek szkolny. I tu z tego, co sam pamiętam, to nie powtarzam z żadnych książek, tylko z tego, co sam pamiętam wtenczas, w tym oficjalnym szkolnictwie wolno było Polaków, dzieci polskie uczyć liczenia tylko do tysiąca. Więcej, powyżej tysiąca wykluczone. Plus istniały jako zawodowe szkoły, powyżej szkoły podstawowej istniały szkoły tak zwane handlowe, gdzie kształcono Polaków na ekspedientów. I to był ten najwyższy poziom wykształcenia przewidziany przez okupanta dla sklavenvolków. Ja tu może za często mówiłem „Niemcy”, bo to dla mnie wtenczas był synonim hitlerowców. Dzisiaj to jest politycznie niepoprawne i słusznie politycznie niepoprawne, ale wtenczas tak było. W porównaniu do przeciętnego Polaka rodzina była bogata. Ojciec zarządzał trzema majątkami, które były bezpośrednio w rękach, jeden należał do ojca, drugi do matki, trzeci do zmarłego dziadka, ale to był okres kryzysu w rolnictwie. Częściowo trzeba było na to, żeby nie biednieć, tak to nazwijmy, parcelować. To było przedłużenie parcelacji z początku lat 20., dobrowolnej parcelacji. Brał również w zarząd inne podupadające majątki. Podobno był bardzo wybitnym rolnikiem, strategiem w tej dziedzinie i sobie dobrze radził. I stać go było na to, żeby na przykład leczyć tę siostrę, o której wspominałem, która zmarła w 1939 roku w transporcie repatriacyjnym. Ona była ciężko upośledzona umysłowo. I żyliśmy zdecydowanie lepiej niż przeciętna polska rodzina, ale to była ciężka praca naszego ojca. Praca nad prowadzeniem tych wielu przedsiębiorstw, którymi kierował. Często go nie było w domu. Na co nas było stać, to na przykład, tą siostrą upośledzoną, która przeważnie nie miała w ogóle żadnej świadomości, zajmowała się tak zwana szwester, czyli siostra, pielęgniarka, Niemka, z którą potem zresztą był kłopot w czasie tych... po śmierci Joani, bo szwester jeszcze u nas została, a w domu słuchaliśmy radia, które było absolutnie zakazane i szczęśliwie się jakoś udało ze szwester po miesiącu pożegnać. Co więcej mogę powiedzieć o naszym życiu? Ja wtedy byłem bardzo dzieckiem, ja miałem siedem lat. Mieliśmy swojego kucyka, duży dom i wspaniałych rodziców. I potem się wszystko skończyło. Ale opatrność nad nami czuwała, bo na przykład w Warszawie w czasie wojny, ja dopiero teraz się o tym dowiedziałem, ojciec przed wojną kupił dwa place budowlane na Bielanach, wiedziony jakimś przewidywaniem. Wiedziony opatrnością. I ze sprzedaży tych placów żyliśmy. I matka mogła się poświęcić. Nie prowadziła działal-

ności zarobkowej, nie pracowała, tylko się zajmowała opieką nad rodziną więźnia politycznego. I oczywiście działalność taka nazwijmy to konspiracyjna, komendant AK okręgu krakowskiego miał u nas jeden z lokali kontaktowych w domu. Biuletyn Informacyjny czytaliśmy regularnie. Matka bardzo pomagała wielu ludziom. Taka najbardziej zaprzyjaźniona rodzina z podopiecznych to byli [niezrozumiałe] Trzech chłopaków, ojciec w Oflagu. A trzech chłopaków, nazwijmy to poborowych. Najstarszy Julian uczył nas opieki sanitarnej. Do dzisiaj pięknie bandażuję bandażem elastycznym. Zginął w powstaniu. Tadeusz wioząc broń tramwajem stracił nogę, bo znalazł się pod tramwajem, a Kazik sfałszował datę urodzenia i trafił do wołyńskiej brygady AK. I przeżył, ale tamtejsze przeżycia bardzo zaważyły na jego psychice. A do tego, po wojnie oczywiście trafił na Rakowiecką za tę działalność brygady wołyńskiej AK. I w sumie to szalenie zaciężyło na jego dalszym życiu. I cóż, doskonale pamiętam rozstrzelania w Warszawie. Świeżo była rocznica rozstrzelania w Wawrze, o ile pamiętam, potem były Palmiry wiosną, a potem na tyle, na ile pamiętam, była dłuższa przerwa i pierwsze rozstrzelanie w centrum Warszawy to było na Puławskiej 19. Mniej więcej późniejsze kino Moskwa. Dzisiaj budynek PKO S.A. PKO BP, przepraszam. Tam było takie podwórze łączące Puławską z Chocimską. I tam było pierwsze rozstrzelanie. Drugiej było na rogu Madalińskiego i Niepodległości. A w czasach PRL-u tam był klub oficerski, a wtenczas był pusty plac. I pamiętam, że pod wieczór nasza matka wzięła dwójkę swoich starszych dzieci i wszelkie kwiaty, jakie można było w domu znaleźć i poszliśmy tam złożyć hołd tym rozstrzelanym i zademonstrować Niemcom, którzy stali wkoło z karabinami maszynowymi, że ducha Polaków tak łatwo nie jest złamać. Dla nas to było wzruszające, dla matki, chyba sobie zdawała sprawę z ryzyka, a mimo tego nas tam zaprowadziła. I nie byliśmy jedyni. Tam był tłum ludzi i co, nie wiem, 15–30 minut podjeżdżała ciężarówka SS i widłami ładowali, wywozili te kwiaty, i te znicze, które myśmy przynosili. I taka była atmosfera Warszawy. Ja w gronie kolegów stałem się bohaterem w momencie, jak w 1943 roku zostałem ranny na ulicy w przypadkowej strzelaninie na Puławskiej, na rogu Olszewskiej. Dostałem dwie kule. Szczęśliwie niegroźne. Po miesiącu już pływałem, bo to był czerwiec, jak byłem ranny. Już pływałem w jakichś gliniankach. Ale wśród kolegów byłem bohaterem. Taka była atmosfera w Warszawie. I tam po Powstaniu w tym dworze niedużym, zamieszkało dodatkowo, poza całą szeroką bardzo rodziną zamieszkało 50 ludzi ewakuowanych z Warszawy i przygarnianych przez ziemian w województwie krakowskim i pewno nie tylko tam. I myśmy szykowali dla nich, 50 osób urządzić dodatkowo, stworzyć im warunki do życia, było podwórze, było zaplecze żywnościowe było, ale na przykład czym ich przykryć. Chodziliśmy na stawy rybne jesienią i trzcina, tatarak, dojrzała i te kwiaty, te kolby takie rozbijaliśmy na coś w rodzaju puchu i panie, tłum dziewcząt pikowały przez dwa koce i to służyło jako kołdry. To, co bardzo było wtenczas charakterystyczne dla hitlerowców, tu się trzymam poprawności politycznej, za część kontyngentu, za znaczną część kontyngentów płacili cukrem i wódką, po to, żeby rozpijać naród. Jeżeli właściciel majątku dostawał tyle wódki i cukru a nie gotówkę, to też musiał pracownikom rolnym płacić tym samym produktem. I stąd nie dziwny się alkoholizmowi, co zresztą chyba była polityka również stosowana w czasach caratu. Przypomnę, ojciec mobilizowany w Wielkopolsce 14 sierpnia, skierowany przed dowództwo pułku do ośrodka zapasowego w Kraśniku Fabrycznym. My ewakuowaliśmy się, uciekaliśmy przed Niemcami jeszcze przed 1 września do krewnych w Kocku. I tam ostatni raz widzieliśmy ojca. A Kosów Lacki to już jest grudzień 1939 roku, czystki etniczne, aresztowania rodzin inteligentnych z prowincji Warthegau i wywiezienie do Generalnej Guberni. Ojciec trafił w sumie, szczegóły pan znajdzie w tym maszynopisie, do Kozielska i tam przebywał do momentu wywiezienia do Katynia. I ja swego czasu tu widzę datę 1990, sporządziłem dla siebie, rodziny notatkę w sprawie daty śmierci ojca. „Przez wiele lat rodzina Marcelego, to znaczy jego żona Róża i troje ich dzieci, Maria, Piotr, Teresa...” Joanna zmarła w 1939 roku, jest już pominięta. „...byli przekonani, że Marcelli zginął

w Katyniu 30 kwietnia. Powyższą datę podał profesor Stanisław Swianiewicz". W tych dwóch listach datowanych z 1962 roku do naszej rodziny, konkretnie w Paryżu wtenczas mieszkała siostra mojej matki, z Warszawy nie można było korespondować w takich sprawach z Londynem, gdzie mieszkał Swianiewicz. I te listy to były listy Marii Morawskiej do Swianiewicza i jego odpowiedzi. „W listach tych Swianiewicz stwierdził, że znał naszego ojca w Kozielsku oraz podał informację, że ojciec został wywieziony z Kozielska tym samym transportem, co on, 29 kwietnia. Według tychże listów transport przybył na stację Gniazdowo, 30 kwietnia, rano. I tam profesor Swianiewicz został oddzielony od transportu i zabrany do więzienia w Smoleńsku, a jego współtowarzysze z transportu na pewno rozstrzelani w lesie w Katyniu". Warto jednak wiedzieć, że w Kozielsku więziono co najmniej trzech Żółtowskich, bo nie wiem, czy pan zwrócił uwagę. Ja podejrzewam, że nazwisko Żółtowski jest najczęstsze wśród nazwisk ludzi rozstrzelanych w czymś, co ja nazywam szerokim Katyniu. To znaczy nie tylko w Katyniu, ale we wszystkich z trzech obozów jenieckich. Kozielsk, Starobielski i Ostaszkowo. Pięć razy się powtarza nazwisko Żółtowski. To samo może pan sprawdzić na listach pośmiertnych nominacji sprzed dwóch lat. I w samym Kozielsku, poza ojcem, było jeszcze dwóch jego kuzynów Żółtowskich. I Swianiewicz mógł nie wiedzieć, że aż tylu Żółtowskich jest w Kozielsku. Tam było prawie 6 tysięcy ludzi. „W listach pisze, że wiedział o Marcelim Żółtowskim w transporcie, w którym on był wywożony". Ale nie... Jeżeli nie wiedział, że było więcej Żółtowskich, to mógł się imieniem nie interesować. „Ostatnio zwrócono uwagę, że numery nadane zwłokom Marcelego i Władysława Żółtowskich w czasie ekshumacji, wskazują na to, że w tak zwanym transporcie 18., w którym był wywożony Swianiewicz, znajdował się Władysław, a nie Marceli. Z dokumentów przekazanych ostatnio Polsce przez władze Związku Radzieckiego Marceli jest wymieniony w piśmie z dnia 14 kwietnia. Skierowanym przez zastępcę szefa zarządu NKWD do spraw jeńców wojennych w Moskwie, Chochłowa. Ten list skierowany do komendanta obozu w Kozielsku, Korolewa. Pismo to poleca przekazać wymienionych w nim oficerów do dyspozycji smoleńskiego NKWD. Obejmuje ono, to pismo, około, o ile pamiętam sto nazwisk. Ojciec nasz figuruje na piątej stronie pisma z liczbą porządkową 91. Samo nazwisko jest trochę zniekształcone „Żótowski", a nie Żółtowski, lecz imię, imię ojca i rok urodzenia podane są prawidłowo. Podano również numer akt śledczych, 45453". Tak że przypuszczalnie ojciec zginął 17 kwietnia i jak Niemcy zaczęli wykorzystywać, odkryli masowe groby i zaczęli wykorzystywać to w tej propagandzie również w Warszawie. Matka nie chciała śledzić, czekać, codziennie z niepokojem przeglądać gazety tak zwanej „gadzinówki". Tu warto dodać, że nie kupowało się tych gazet, z wyjątkiem oczywiście jak miały się pojawić te listy. I ktoś z matki przyjaciół obiecał, że ją zastąpi w tym obowiązku, i zachował kartkę. Zachowała się ta kartka, którą ten człowiek przyniósł jako sporządzoną przez siebie notatkę, „Żółtowski Marceli ma krzyż Virtuti Militari". Jest na liście Katynia i tu jest pod spodem jakiś numer. Pewno z tej gazety niemieckiej. Dotarły do nas czy do matki, dwie wieści z Kozielska. Jeden list pisany własnoręcznie przez ojca z Kozielska. Oczywiście w sposób zgodny z przepisami cenzury, czyli tam wiele nie było. I ten list, za chwilę do tego wrócę. A, troszeczkę się cofnę. Po wojnie na to, żeby mieć jakąś rentę, matka wystąpiła w 1946 roku o uznanie ojca za zmarłego. I tam w tym postępowaniu sądowym podała, mam notatkę z tego oświadczenia. „Marceli Teodor Żółtowski powołany 14 sierpnia do 17. Pułku Ułanów, w styczniu 1940 otrzymała list z obozu w Kozielsku, datowany z listopada 1939. Następnie kartkę z tegoż miejsca pobytu, datowaną 10 lutego 1940". Ale już nie pisaną przez ojca, tylko przez jakiś organ PCK czy odpowiednik radziecki. A to, co przyszło do... Nie. Tera zaczynam mylić. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób ten list nas znalazł w Warszawie. List już pisany z Kozielska. A wcześniej przyszedł list pisany w momencie brania do niewoli, gdzie polskie dowództwo, nazwijmy to brygady czy zgrupowania, uzyskało od Armii Czerwonej 24 godziny bodajże na przygotowanie wojska do poddania się. Do przekazania, że tak powiem... Do utra-

ty władzy przez dowództwo polskie. I w tym okresie zwolniono, polskie dowództwo pozwoliło oddać się ludziom o nazwiskach, które się mogły specjalnie władzy radzieckiej nie podobać. I w ten sposób został zwolniony major Bakradze, który trafił na jedyny adres, jaki ojciec mógł znać, że trafi do naszych rąk, to znaczy do dziadka do Poznania, który nie został wywieziony. I to była ostatnia wiadomość, że tak powiem, niecenzurowana od ojca. Bakradze, gruzińskie nazwisko, czyli Armia Czerwona, ryzykował dużo, gdyby trafił w ręce NKWD w mundurze oficera polskiego. I tego typu ludzi w tym okresie poddawania się oddziałów polskiej Armii Czerwonej, dowództwo polskie zwalniało. Pozwalało im się zdematerializować. Później jak Niemcy ogłosili listy katyńskie, Rosjanie zerwali kontakty z rządem Sikorskiego. To nie wiem, w jakim trybie, z jakiego tytułu, ale mieliśmy absolutną pewność, że to zrobili Rosjanie. To było nie wiem, na ile udowodnione, ale było zupełnie pewne. O tym się nie dyskutowało. To było wiadome. Od 1941 roku już oczywiście nie mogło być informacji, bo była wojna niemiecko-rosyjska. Tak że informacje mogły być tylko w koło przez Anglię. Co się dzieje w Anglii, wiedzieliśmy z nasłuchów radiowych, ale o tym nie było mowy. Były starania, chyba Ciechanowski się nazywał, jeżeli się nie mylę, człowiek Sikorskiego, który próbował to wyjaśnić. I sprawa stała się jasna dopiero po komunikatach niemieckich, jak odkryto groby katyńskie. Jak to przyjmowała mama? Proszę pana, ja nie wiem, jak przyjmowała. Wiem, że w domu stał na prawach świętości stoik z poziomkami, bo jak ojciec wróci, to... To był jego przysmak. I tego stoika nie można było dotknąć. Jak przyjmowała, ja nie wiem, jak przyjmowała. Matka się udzielała społecznie. Życie codzienne stwarzało ustawiczne niebezpieczeństwo, łapanie, rozstrzelania uliczne. Siostra matki aresztowana przez Niemców. Żyło się... W czasie wojny się żyło bez perspektyw. Żyło się dniem codziennym. Matka oczywiście inaczej żyła niż my. Miała dłuższą perspektywę na pewno. Ciągłe aresztowania wkoło, rozstrzelania uliczne. Jak panu wspominałem, matka nas prowadziła dla oddania hołdu rozstrzelanym. Ja byłem w tajnym harcerstwie. Tamte czasy trudno opisać w dzisiejszym języku. Szczególnie wtenczas ja miałem oczy zupełnie inne niż dzisiaj. Bo byłem 10-, 12-letnim chłopcem. I wkoło działy się ciągłe dramaty. Jeszcze nie tylko naturalnie wynikające z istnienia Armii Krajowej, z obrony narodu przed eksterminacją, ale również celowo strach podsycany przez Niemców tymi właśnie rozstrzelaniami ulicznymi, propagandą. I chodziliśmy na komplety, tajne nauczanie, robiliśmy pierwsze klasy gimnazjum. Mówię, moja starsza siostra i ja. Żeby to ułatwić, to matka mnie... Ja przeskoczyłem jedną klasę, przez to do dzisiaj, ponieważ to chodziło o klasę dwa, trzy, pewno z tego powodu moja kaligrafia to są gryzmoły. Nie wiem, co mogę powiedzieć dla dzisiejszego słuchacza o tamtych czasach. To był zupełnie inny świat. Z tym, że żyć tak, żeby się nie wstydzić samemu przed sobą. To było bardzo istotne. Nie wiem. Ja nie potrafię tamtych czasów opowiedzieć. Myśmy się przyzwyczaili do... Dzisiaj patriotyzm wydaje się być pojęciem tak dalekim od współczesnego życia. I się próbuje wskrzeszać ten patriotyzm. Wskrzeszać, ja sądzę, że on naprawdę jest, tylko jego ujawnienie wymaga... Patriotyzm się ujawnia wtenczas, jak jest potrzebny, a nie jak się prowadzi politykę historyczną. Tak to się dzisiaj nazywało? Parę lat temu tak to się nazywało. Polityka historyczna. Co było dziecinadą kompletną.